

ZENON OWOC

MOJA DRUGA WOJNA ŚWIATOWA. /WRZESIEŃ 1939 R./

Wstęp.

W okresie międzywojennym w Zbąszyniu i okolicy mieszkało dość dużo Niemców potomków kolonistów i napływowego pruskiego urzędniczo – rzemieślniczego stanu z okresu porozbiorowego. Byli przeważnie wyznania ewangelickiego. Mieli własny zbór i szkołę. Nie znaliśmy różnic, poza językiem i wyznaniem. Nie było żadnej wrogości. Rodzice przyjaźnili się z wieloma rodzinami, a szczególnie ojciec znał bardzo wielu ze służbowych kontaktów z miejscowymi Niemcami jak również z pocztowcami z Neubentschen’a i Berlina. Wszystko do czasu jak z III Rzeszy zaczął przenikać do miejscowych Niemców hitlerowski rasizm i nacjonalizm, a w Polsce i Zbąszyniu pojawili się polscy nacjonałiści – „Narodowcy”, w białych koszulach i czarnych beretach. Pojawiały się plakaty „Nie kupuj produktów niemieckich” (proszku do prania „Persil” lub „Henkel” itp.) , „Nie kupuj u Żyda” i w lokalu narodowców przy ul. Senatorskiej wywieszano listy Polaków nie przestrzegających tych haseł. Wszystko to wywoływało atmosferę niepokoju i nienawiści międzywyznaniowej i narodowościowej.

Rzesza niemiecka opanowana przez hitleryzm stawała się agresywna w Europie. Zajmowała kolejno Saarę w Nadrenii, potem Austrię, Czechy i Morawy oraz na Litwie, Kłajpedę. Polska chcąc uchodzić w Europie za mocarstwo, razem z Niemcami zajęła część Czech, tak zwaną Ziemię Cieszyńską z zagłębem węglowym Morawskiej Ostrawy. Podczas kryzysu Litewskiego, my Polacy chcieliśmy resztę Litwy przyłączyć do „macierzy” i odtworzyć „Wielką Polskę” przedrozbiorową (!) .Czesi i Litwini do dziś nam tego nie mogą zapomnieć i wybaczyć.

Jesienią 1938 roku, po wielu ekscesach antyżydowskich, Niemcy hitlerowskie wypędziły w sposób bezprzykładny ze swego kraju przez Zbąszyń, tysiące żydów narodowości polskiej, zamieszkałych przez wiele lat w Niemczech.

To wszystko powodowało, że w latach trzydziestych ubiegłego wieku narastała atmosfera zbliżających się niepokojów i w konsekwencji rychły wybuch kolejnej wojny.

Wojny i jej okrucieństwa były mnie już znane z prasy i radia. Wojnę w tych latach prowadziły faszystowskie Włochy z Abisynią i Albanią, trwała okrutna wojna Japonii z Chinami, oraz wojna domowa w Hiszpanii, gdzie zmagali się komunizm z nacjonalizmem, który w Hiszpanii zwyciężył i trwał pod rządami generała Franco do lat 60-tych dwudziestego wieku. Rosjanie ćwiczyli, prowadząc krótką, ale zaciętą wojnę na dalekim wschodzie również z Chinami i rozprawiali się bezwzględnie z wewnętrzną opozycją.

Mój wrzesień 1939 r.

W maju 1939 roku ukończyłem 10 lat i we wrześniu miałem rozpocząć swoją czwartą klasę szkoły podstawowej. Moja wojna zaczęła się 28 sierpnia 1939 roku. Tego dnia ojciec, na podstawie posiadanych pewnych informacji o wybuchu w najbliższych dniach wojny, polecił nam się spakować i następnego dnia wsiedliśmy, matka, siedmioletni brat Henryk i ja, do pociągu osobowego, jadącego w kierunku Wolsztyna-Leszna, gdzie w Wolsztynie przesiedliśmy się na pociąg do Grodziska Wlkp.

Ojciec był już zmobilizowanym pocztowcem i pozostawał w służbie na poczcie dworcowej Zbąszyń 2. Pożegnanie na dworcu z ojcem było bardzo wzruszające. Matka płakała, a ojciec, stary żołnierz, uczestnik pierwszej wojny i powstaniec wielkopolski, ukradkiem wycierał łzy z kątów oka. Mnie, jako najstarszemu mężczyźnie polecił opiekować się młodszym bratem i matką.

W Grodzisku przybyliśmy do krewnych naszej rodziny, która miała nas przechować na czas chwilowych przygranicznych walk, kończących się oczywiście zwycięsko dla nas i marszem na Berlin. Ale tak niestety się nie stało.

W Grodzisku odczuwało się już ogólne podniecenie. Na rynku przed ratuszem odbywały się jakieś ciągłe zgromadzenia. W wyniku ogólnej psychozy wojennej, będąc któregoś dnia na rynku byłem świadkiem próby samosądu, nad moim zdaniem bogu ducha winnym Niemcu, który miał być podobno szpiegiem. Od niechybnej śmierci uchroniła go policja, osadzając Niemca w miejscowym areszcie.

W ostatnim dniu sierpnia miejskie władze Grodziska organizowały ewakuację rodzin urzędników państwowych. Przewieziono nas w nocy wozami do Opalenicy i tu załadowano do węglarek, stojącego na boczniczy pociągu towarowego, częściowo już załadowanego uciekinierami. Z brzaskiem dnia pociąg ruszył w kierunku Poznania. Pogoda pierwszego września 1939 roku była lipcowa. Ani jednej chmurki na nieboskłonie. Między Bukiem a Otuszem na bezchmurnym niebie, nad naszym pociągiem pojawił się samotny samolot, dwusilnikowy. Początkowo cały pociąg opanowała euforia radości, ponieważ uważano, że to samolot polski, który osłania nasz transport. Ludzie stłoczeni w węglarkach zaczęli wznosić okrzyki.

- Brawo polscy lotnicy !
- Gdańsk zdobyty ! Gdańsk nasz !

Okrzyżyl nas parę razy. Pociąg powoli zwalniał i zatrzymał się w szczerym polu. Naraz lecącemu samolotowi spod kadłuba odłączyło się jakoby drobnych kilka zapalek. Krzyknąłem „bomby”. Kobiety oburzone strofują mnie „nie krakaj smarkaczu”, a tu po chwili naraz z jednej i drugiej strony naszego pociągu zaczęły wybuchać spadające bomby. Ludzie w popłochu wyskakiwali z wagonów i kryli się w pobliskich rowach. Samolot jeszcze raz nas okrzyżyl i odleciał w kierunku zachodnim. Na szczęście była podobno tylko jedna osoba ranna, która została przeniesiona do pobliskich zabudowań. Pociąg ruszył dalej, a z otwartych węglarek popłynęła w niebo pieśń

- „Kto się w opiekę podda Panu swemu”.

Załoga samolotu doskonale moim zdaniem widziała, że to pociąg z ludnością cywilną i zbombardowanie nas było przejawem rozpoczętej z Polską przez Niemcy bezwzględnej wojny terrorystycznej.

Przed Poznaniem na stacji Poznań – Górczyn, pociąg ponownie się zatrzymał i ogłoszono alarm lotniczy. Ja wyskoczyłem z samej góry wagonu i asekurowałem schodzącą matkę z młodszym bratem po drabince. Dobiegliśmy do wcześniej wykopanych pobliskich rowów przeciwlotniczych. Na kilku dachach pobliskich budynków byli żołnierze z obrony przeciwlotniczej i strzelali do lecących samolotów z dużych sprzężonych karabinów maszynowych. Z oddali słyszeliśmy wybuchy spadających gdzieś w mieście bomb. Siedząc w naszym rowie znalazłem piękne czerwone „wieczne pióro” na pompkę tłokową. Takie pióro wraz z ołówkiem firmy „Pelikan” posiadał ojciec, a pióra takie były wówczas nowością.

Po odwołaniu syrenami nalotu, ruszyliśmy dalej, ale niedaleko ujechaliśmy. Pociąg zatrzymał się na stacji Poznań-Główny, na peronie drugim i tu po chwili zawyły syreny i ogłoszono alarm lotniczy. Na stacji, na wszystkich torach stały pociągi z cywilnymi uciekinierami i wojskiem. Powstała panika. Wszyscy w popłochu zaczęli opuszczać swoje pociągi i szukali jakiegoś schronienia przed spadającymi bombami. Uciekając i tłoczyli się w tunelach między peronowych, a spadające gdzieś w pobliżu bomby odłamkami trafiały w jakieś elementy szklane i rury z płynem, zalewając tunel i rażąc niegroźnie na szczęście, odłamkami szkła. Rozlewająca się woda wywołała dodatkowy chaos, bo ktoś krzyknął „gaz – iperyt”, tym groźniejsze było takie wezwanie, bo wcześniej wszyscy byliśmy przygotowywani do wojny z użyciem gazów bojowych, w tym płynnego iperytu.

Ludzie zakładali maski gazowe i tampony. Matki małym dzieciom zatykały nos i usta chustkami, nasączonymi wcześniej własnym moczem, bo to miało chronić przed zatruciem gazem. Panowała ogólna panika. Każda padająca w pobliżu bomba powodowała próbę ucieczki stłoczonej w tunelu masy ludzkiej, co stwarzało poważne niebezpieczeństwo wzajemnego się stratowania. Szczęście, że nalot został odwołany, bo stłoczeni ludzie by się w tym tunelu wzajemnie pozadeptywali.

Tu na dworcu w Poznaniu przeżyliśmy jeszcze kolejne dwa alarmy i bombardowania, ale dzięki wujkowi (Władysław Owoc), który był wówczas zawiadowcą stacji Poznań - Główny, mogliśmy się w następnych nalotach schować do prawdziwego schronu przeciwlotniczego w podziemiach dworca. Jak się zdaje, dzięki wujkowi, o co usilnie prosiła go moja matka, nasz pociąg opuszczał jeden z pierwszych niebezpieczny poznański dworzec główny.

Nasz pociąg ruszył z dworca już w zapadającym zmroku . Wokół wszystko płonęło. Po prawej magazyny Hartwiga i inne magazyny dworcowe. Widok był przerażający. Z naszych otwartych węglarek widzieliśmy wszystko wokoło. Dalej pociąg jechał wolno, stawał często na kolejnych stacjach, dając pierwszeństwo transportom wojskowym.

Późną nocą dojechaliśmy do stacji Września. Wszystkie tory zajęte były transportami wojskowymi z czołgami, samochodami, wozami konnymi, a w zamkniętych wagonach towarowych były konie i żołnierze. Wołali do nas „nie bójcie się”, „jedziemy na front”, „będziemy walczyć z Niemcami, aż do zwycięstwa”, „obronimy was” i byli pełni ducha bojowego i nadziei na rychłe zwycięstwo i koniec wojny.

Rano, około godziny 9.00 nasz pociąg stanął na stacji Strzałkowo. Naradziliśmy się z matką i stwierdziliśmy, że tu wysiadamy i dalej nie jedziemy. Wysiedliśmy z naszym dobytkiem. Z bratem zostaliśmy na stacji, a matka udała się do miasteczka. Nie trwało długo i znalazła miejscowego wieśniaka z wozem, który zgodził się nas zabrać ze sobą i zakwaterować u siebie. Nasz transport, jak później dowiedzieliśmy się dotarł po wielu dniach i ponownych bombardowaniach, do Stołpc, nad dawną polsko - rosyjską granicę. Powrót do domu tych ludzi był bardzo trudny spod sowieckiego zaboru, ale możliwy, bo wynikał podobno z porozumienia niemiecko – sowieckiego, że ludność zamieszkująca tereny zajęte przez Niemców mogła wrócić do swych domów.

Na wsi oddalonej o parę kilometrów od Strzałkowa znaleźliśmy nowe lokum, w niedokończonym, ładnym nowym domu naszego gospodarza. W jednym z niewykończonych pokoi, na ziemi wysłanej słomą, pod jedną ze ścian, wśród już innych mieszkańców tego pomieszczenia, dostaliśmy swoje miejsce. Mieszkaliśmy tu kilka dni. Zakupy robiliśmy w miejscowym sklepach, a mleko, jajka i masło u naszego gospodarza. Idąc po zakupy lub gdziekolwiek, trzeba było się liczyć z możliwością ataku niemieckich samolotów myśliwskich lub „stukasów”, które atakowały nisko lecąc, pojedyncze osoby strzelając, z pokładowych karabinów maszynowych.

Codziennie przez naszą wieś drogą i główną szosą warszawską przechodziły i przejeżdżały tysiące uciekinierów, zmieszane z idącymi do poboru ochotnikami i już cofającym się wojskiem. Drogi i szosy były przepełnione pieszymi, rowerzystami, zaprzęgami konnymi i samochodami. Młodzi ludzie dopytywali się o miejsca umożliwiające zaciąg do wojska i możliwość otrzymania broni. Panował ogromnie patriotyczny nastrój, mimo groźnych ciągłych bombardowań nieprzyjacielskich samolotów oraz psychozy

wszechobecnego wroga i szpiega. Każde pojawienie się na niebie kluczy niemieckich samolotów było podobno spowodowane przekazywanymi z ziemi, przy pomocy lusterek sygnałów szpiegowskich. Ta atmosfera prowadziła do wielu samosądów. Byłem przypadkowym świadkiem zdarzenia, jak bogu ducha winnemu, moim zdaniem człowiekowi, wychodzącemu z plantacji kukurydzy, gdzie był z swoją „potrzebą”, przypisano działanie szpiegowskie. Okrutnie pobito starego człowieka, który błagał i prosił o litość, bo nie wie o co chodzi. Znowu pojawiły się na niebie wrogie samoloty i ogłoszono alarm lotniczy. Powstała panika, płacz dzieci i krzyki kobiet, a na schwytanym człowieku chciano dokonać na miejscu linczu, lecz szczęśliwie uratowali go od niechybnej śmierci przechodzący żołnierze, którzy zabrali biednego człowieka ze sobą i miałem nadzieje, że ocalał.

Codziennie wieczorem cały nasz pokój odmawiał zbiorowo modlitwy, za dobrą noc i za dobry następny dzień, oraz żeby się szybko skończyła wojna. My dodatkowo modliliśmy się za naszego ojca, który pozostał w Zbąszyniu i nie mieliśmy żadnej od niego wiadomości.

Pewnego dnia rano miałem niezwykajne przeczucie i prawie pewność, że dzisiaj znajdę ojca. Około południa wybiegłem na drogę, którą ciągnęły niezliczone rzesze uciekinierów, pieszo, na rowerach, na wozach i samochodami. Naraz w tym tłumie z daleka rozpoznałem grupkę pocztowców w mundurach, na rowerach i zaraz pomyślałem, że tam w tej grupie na pewno jest nasz ojciec. Wtedy na skrót przez kartoflisko biegnę i wołam. Jakaż była moja radość, gdy rozpoznałem, że jest to grupa pocztowców ze Zbąszynia, a wśród nich nasz ojciec. Nastąpiło radosne spotkanie i powitanie na drodze, a później z matką i bratem na naszej kwaterze. Było to niesamowite, cudowne zdarzenie i oczywista interwencja Stwórcy, do którego wznosiliśmy nasze żarliwe modlitwy i prośby. To był znak łaski bożej i jak mówi psalmista: „Pan słyszy wołających o pomoc i ratuje ich od wszelkiej udreki” Ps 34.

Po południu w tej miejscowości (prawdopodobnie wieś Kornaty koło Strzałkowa?) odbyło się zebranie grupy zbąszyńskich pocztowców i wobec beznadziejnej sytuacji ogólnej w kraju, postanowiono protokolarnie rozdzielić pieniądze z posiadanej kasy, wypłacić zgodnie z istniejącymi przepisami każdemu, trzymiesięczną odprawę. Protokół z tego zdarzenia i inne powielone dokumenty służbowe zostały pozaszywane w ubrania wtajemniczonym. Postanowiono również o rozwiązaniu grupy i zdecydowano, że każdy może się udać w dowolnym kierunku we własnym zakresie.

Na drugi dzień ojciec zorganizował wóz i woźnicę. Woźnica był Niemcem z okolic Pniew, którego podobno jacyś źli ludzie zmusili do ich wiezienia, jak najdalej w Polskę, przed nacierającymi niemieckimi wojskami. Ojciec uznał, że woźnica był niesłusznie szykanowany i poniewierany, więc z nim pogadał na osobności i uzgodnił, że od następnego dnia pojedzie z nami. Niemiec chętnie przystał na ojca warunki i zgodził się nas zawieźć za Warszawę, bo tam już Niemcy nie mieli dojechać.

Na nasz wóz załadowały się jeszcze pani Szutta (?) ze Zbąszynia, z córką i synem, oraz nieznajoma z Grodziska Wlkp, z kilkumiesięcznym dzieckiem, której mąż był w wojsku i gdzieś walczył w kraju z nieprzyjacielem.

Następnego dnia ruszyliśmy. Ojciec wcześniej z Niemcem – woźnicą, zakupił na długą podróż owsa i innego „obroku” dla naszych koni. Jechaliśmy głównie bocznymi drogami, aby unikać ciągłych nalotów lotnictwa niemieckiego, które panowało w powietrzu i atakowało najczęściej główne szlaki komunikacyjne. Nocą żeby szybciej się przemieszczać wracaliśmy na główną szosę Poznań – Warszawa. Którejś kolejnej nocy przejeżdżaliśmy przez zbombardowane miasto Kutno. Na nasz wóz zabraliśmy rannych żołnierzy z zbombardowanego szpitala w Kutnie. Wszystko wokół się paliło. Ja jako najstarszy z najmłodszych, z powodu braku miejsca na wozie musiałem iść pieszo, pilnując żeby nie stracić z oczu naszego wozu w ogromnym tłoku i tłumie panującym na drodze.

Noce były już chłodne. Dotarliśmy w okolice Sochaczewa nad Bzurę. Tu my cywile uciekinierzy, wraz z armią „Poznań” i resztkami armii „Pomorze” zostaliśmy zamknięci w wielkim kotle, w widłach Wisły i Bzury, a napierającymi od zachodu, południa i północy, znacznymi zmotoryzowanymi siłami niemieckimi. Na stosunkowo niewielkim obszarze stłoczonych było podobno ponad siedem dywizji wymienionych wyżej armii, oraz wiele innych samodzielnych związków taktycznych, głównie kawalerii, oraz tysiące uciekinierów.

W miejscowości Sanniki pierwszy raz widziałem pokodem leżące trupy żołnierzy i cywilów, wśród głębokich lejów po bombach znacznego kalibru, oraz ruiny i palące się wokół domy. Szczególnie makabryczny był widok zniszczonego kościoła i leżące wokół duże ilości zmasakrowanych ciał zabitych żołnierzy. Przed naszym przyjazdem miasto podobno przeżyło zmasowany nalot samolotów nieprzyjacielskich i ostrzał artyleryjski.

W piątek (17 wrzesień ?) znaleźliśmy się w okolicy miasteczka Iłów. Na drodze wiejskiej, zatłoczonej konnymi taborami wojskowymi, maszerującą piechotą, a poboczami drogi przelatowały na koniach szwadrony i większe ugrupowania kawalerii. Był to wczesny jesienny ranek, z przepięknie wschodzącym słońcem, jak w każdy dzień tej jesieni. Matka poszła do chłopca dokonać zakupu żywności. Dziś widzę jak matka biegnie przez pole z kobiałką pełną białych jaj, a nad nią lekki samolot nieprzyjacielski. Był to samolot rozpoznawczy. Wystrzelił rakietę, dając znak o znalezieniu celu w oddali lecącym samolotom nurkującym, które niebawem pokazały się, lecące dość nisko nad horyzontem, dla skutecznego zaatakowania zatłoczonej drogi. Matka ledwo zdążyła dobiec do naszego wozu. Rozpoczął się gwałtowny nalot niemieckich samolotów nurkujących typu J-87, tak zwanych „stukasów”, które przeraźliwie wyjąc, kolejno nurkowały wyrzucając z swego wnętrza śmiertelny ładunek bomb. Zeskoczyliśmy do przydrożnego rowu. Działo się coś niesamowitego. Bomby padały na drogę i pobocze, a wszędzie pełno

stłoczonych ludzi, wojska i konnych taborów. W powietrze leciały wozy, szczątki koni i elementy różnorodnego dobytku. W tym przeraźliwy kwik koni i wołania ludzi o pomoc. Spłoszone konie rwały uprząż i z fragmentami wozu uciekały w pole.

Naloty były tak zorganizowane, że kilkanaście samolotów leciało jeden za drugim, zrzucając bomby, a następnie wracały i niskim lotem, prawie nad głowami, strzelały z broni pokładowej do wszystkiego, co się rusza. Taki nalot trwał kilkanaście minut, by po krótkiej przerwie powtórzyło się to samo piekło, które trwało aż do zmroku.

Po kilku takich nalotach, siedząca obok w rowie pani z naszego wozu, płacze rozpaczliwie, bo okazało się, że pozostawiła na wozie swoje kilkumiesięczne dziecko i nie wie, co się z nim dzieje. Ja w nierozważnym odruchu, wyskoczyłem z rowu i przyniosłem naszej sąsiadce wcale nie wystraszone dziecko. Matka dziecka bardzo mnie dziękowała.

Po południu, w przerwę między nalotami, jaką sobie pewnie na spójnicie obiadu zrobili niemieccy piloci, przenieśliśmy się z przydrożnego rowu do pobliskiej wiejskiej chaty, pełnej wojska, leżącego pokotem na podłodze i po kątach pochowanych cywilnych uciekinierów. Żołnierze leżąc studiowali mapy, chcąc przedrzeć się do Kampinosu i dalej do Warszawy lub na Wyszogród przez most na Wiśle, nie wiedząc, że tam już byli Niemcy. Byliśmy otoczeni. Most na Wiśle był już wysadzony, a Sochaczew zajęty przez Niemców, pozostała jedyna wątpliwa droga przez Bzurę do Kampinosu. Tak to sobie rozmyślali, nawet dość spokojni nasi żołnierze, dodając nam trochę nadziei i otuchy. Nie na długo. Rozpoczął się kolejny atak samolotów.

Znowu zaczęły się wahadłowe naloty. Dla nas pozostało miejsce w chlewie razem z krowami. Nie było widać lecących samolotów, a jedynie słycać było przeraźliwe wycie nurkującego „stukasa”, później gwizd lecącej bomby i wybuch Raz bliższy raz dalszy, a następnie gwizd i rytmiczny stukot kul z pokładowego karabinu maszynowego. Nie wiedzieliśmy też która z bomb jest dla nas przeznaczona. Ojciec polecił nam zrobienie rachunku sumienia i wzbudzenie żalu by się przygotować na śmierć. Tak doczekaliśmy nocy. Mała tylko była przerwa, ponieważ zaczęła strzelać artyleria i piekło zaczęło się od nowa. W takim nawale ognia i padających wokół bomb i pocisków, oraz padających trupów przetrwaliliśmy dwa dni i dwie noce, prawie bez jedzenia i picia, jedząc tylko surowe jajka, które matka wcześniej kupiła.

Nagle w nocy z niedzieli na poniedziałek nastąpiła cisza. Wojsko nasze gdzieś się przemieściło, pozostali tylko cywile. Ojciec zarządził wyjazd. Ruszyliśmy naszym wozem, gdy jeszcze był półmrok. Wszędzie płonęły zabudowania wiejskie i stogi ze zbożem. Droga była pełna lejów po wybuchach bomb i pocisków artyleryjskich. Pełno rozbitych wozów i różnego sprzętu, wokół trupy ludzkie i zabite konie.

Naraz z poświaty łuny palącego się stogu wyłania się grupa szarych – ciemnych postaci, wyglądających ponuro i złowrogo. Byli to niemieccy

żołnierze w wielkich hełmach, uzbrojeni w pistolety maszynowe, a za pasem pozatykane granaty z jasną drewnianą rękojeścią, z podwiniętymi rękawami i rozpiętą pod szyją bluzą. Krzyknęli „Alle halt !”, a było nas już więcej wozów z cywilami. Wozy się zatrzymały. Mężczyznom kazali podnieść ręce do góry i przesunąć się na stronę. Tam zostali zrewidowani i wylegitymowani. Ojciec znając dobrze język niemiecki i wyjaśnił kim jesteśmy, a głównie wytłumaczył co to za mundur, w którym był ubrany. Ojciec był ubrany w gabardynowy mundur pocztowca i wyglądał jak oficer-dezertor. Wszystko to się odbyło dojsć sprawnie, a żołnierze zachowywali się bardzo przyzwoicie, oraz byli nam życzliwi, wskazując nam kierunek w którym mieliśmy się udać.

Rano, już za dnia zjeżdżało na wskazany plac coraz więcej wozów z uciekinierami, a w drugą stronę zaczęły się przemieszczać kolumny zmotoryzowanych wojsk niemieckich, a polem ciągnęła niemiecka ciężka artyleria. Działa ciągnięte były przez ogromne gąsienicowe ciągniki, a niektóre przez trzy pary ciężkich koni z poganiaczami w siodłach.

Nas ustawiono na dużym placu, na skraju miasteczka Iłów. Całym ruchem kierowała sprawnie wojskowa żandarmeria z charakterystycznymi blaszanymi plakietkami na piersi. Z naszego miejsca postoju widać było zniszczone miasteczko, a na wprost miejscowy kościółek parafialny z widocznym zwalonym przez bomby dachem. Około południa przyjechała niemiecka wojskowa kuchnia polowa i wydano nam wszystkim uciekinierom gorącą zupę. Był to bardzo smaczny krupnik z mięsem i pierwsze ciepłe jedzenie od kilku dni.

Obok naszego postoju, drogą, w jedną stronę jak już wcześniej napisałem w dalszym ciągu maszerowały i jechały na wschód kolumny niemieckich wojsk, a w drugą stronę na zachód maszerowały już do niewoli, pieszo, niezliczone biedne i wycieńczone kolumny naszych żołnierzy. Kilkunastu polskich żołnierzy zostało zatrudnionych do grzebania poległych, a było ich dużo. Żołnierze wykopywali najpierw długi niegłęboki rów, następnie znosili zabitych, odłamywali blaszane znaczki rozpoznawcze, które każdy żołnierz miał na szyi, następnie układali w wykopanym rowie i zasypywali, stawiając jeden krzyż, oraz jeden polski hełm wojskowy. Niemieckie groby zbiorowe tym się różniły, że ilu żołnierzy było pochowanych w kurhanie, tyle było ułożonych hełmów.

Po zjedzeniu obiadu, z bratem wybraliśmy się na zwiedzanie okolicy. Myszkowaliśmy po rozbitych taborach wojskowych. Na wozach była w skrzyniach ładna kolorowa amunicja różnego kalibru, środki opatrunkowe, sprzęt medyczny, lekarstwa i różne różności. Najbardziej nam się spodobały skrzynki z małymi też kolorowymi bombkami dla mózdzierzy z charakterystyczną lotką u nasady. Znaleźliśmy również nowe piękne wojskowe maski gazowe. W zielonej torbie był pochłaniacz i długą karbowaną gumową rurą połączony z maską, którą zakładało się na twarz. Zabraliśmy cztery najładniejsze i nie używane maski gazowe dla całej naszej rodzinki i ukryliśmy

je na dnie naszego wozu, aby szczęśliwie dowieść do domu i przeżyć wojnę, która mogła się dalej toczyć z użyciem gazu.

Na tym zgrupowaniu staliśmy do późnego popołudnia. Z bratem dalej buszowaliśmy po okolicy, bawiąc się porzuconą bronią, skacząc od leju do leju, które pozostały po bombach i ostrzale artyleryjskim. Cały dzień dalej latały nad nami nisko znowu niemieckie samoloty, ale już się ich nie baliśmy, tym bardziej, że niemiecki żandarm odpowiedział na zapytanie matki, czy jesteśmy tu bezpieczni i czy te samoloty nie zrzucą na nas bomb. „jesteście bezpieczni najwyżej zamiast bomb mogą wam zrzucić cukierki(po niemiecku „bombon”).

Z matką poszliśmy do miejscowego kościołka, podziękować Bogu za przeżyte ciężkie dni. Kościół był zniszczony, bez dachu, a w środku pełno gruzu i śladów obecności szpitala wojskowego, ponieważ wszędzie walały się środki opatrunkowe i ślady krwi. Mimo wyraźnego oznakowania kościoła emblematami czerwonego krzyża, kościół-szpital był bombardowany i ostrzelany artylerią.

Po południu żandarmeria nakazała uciekinierom powrót do domu, wskazując nam jednocześnie określony kierunek, ażeby nie przeszkadzać poruszającym się na wschód kolumnom wojsk niemieckich. Jechaliśmy drogą wzdłuż Wisły w kierunku na Włocławek. Po drodze mijaliśmy wiele zbiorowych mogił żołnierskich, polskich i niemieckich oraz wiele leżących zabitych koni, od których po kilku dniach wydzieliał się bardzo nieprzyjemny odór.

Z września 1939 roku w pamięci pozostały mnie następujące niezatarte wspomnienia, jakby żywe filmowe obrazy i odczucia:

- Urodzaj śliwek, którymi dożywiali nasi zgłodniaли żołnierze nosząc je w hełmach i torbach od masek gazowych.

- Ciągłe bezchmurne niebo i nieodłączny pomruk lecących samolotów nieprzyjacielskich, którym nieliczne nasze myśliwce, stare górnopłaty, próbowały niekiedy się przeciwstawić w nierównej, bohaterskiej walce, której rezultaty sam widziałem w postaci spadających w płomieniach niemieckich samolotów bombowych „heinkli” lub „dornierów”.

- Niesamowity chaos na naszych drogach i wielki patriotyzm mężczyzn proszących się o broń w ewakuujących się WKU, i chęć walki w obronie ojczyzny.

- Po klęsce wszechobecny smród rozkładającej się końskiej padliny i wszędzie charakterystyczny zapach używanej przez Niemców syntetycznej benzyny, oraz ogromna przewaga techniczna armii niemieckiej.

Dla uzupełnienia jeszcze dodaję, wracając do czasu przed klęską naszej armii, jeden raz tylko widziałem kolumnę naszych zmotoryzowanych wojsk, a głównie to wszechobecna piechota, idąca pieszo z ciągnącymi się konnymi taborami i konne jednostki kawalerii, za którą ze szczególną zjadliwością uganiały się niemieckie samoloty myśliwskie, siejąc ogromne spustoszenie i panikę. Widziałem taką nierówną walkę. Konie pędzące bez jeźdźca, lub z

jeźdźcem rannym albo zabitym ciągnionym po ziemi z nogą w strzemionie. Zawsze ratunkiem dla kawalerii był las, ale w okolicach nad Bzurą lasów jest niewiele. Widzieliśmy też walkę naszych przeciwpancerniaków, którzy przyczajeni z dwoma świetnymi działkami na gumowych kołach, zaatakowali jadące drogą czołgi niemieckie, zapalając kilka z nich, a pozostałe musiały się wycofać.

Wieczorem dotarliśmy do Włocławka. Po drodze kontrolowały nas nieustannie niemieckie patrole wojskowe. Bardziej groźne były kontrole miejscowych Niemców, już poprzebieranych w mundury, najczęściej brunatne organizacji hitlerowskiej SA, z groźnymi czerwonymi opaskami na rękawie z „hakenkreuzem”. Noclegi dostawaliśmy u miejscowych Polaków, którzy nas życzliwie przyjmowali. Po przespanej nocy we Włocławku poszliśmy do miasta. Sklepy były ogólnie zamknięte, ale w jednym sklepie udało nam „od tyłu” kupić dla mnie buty, ponieważ stare, w wyniku przebycia wielu kilometrów pieszo, już się rozpadały, a zbliżały się słotne jesienne dni. Sprzedającemu nam buty, polskiemu sklepikarzowi, opowiadaliśmy o naszych ostatnich przeżyciach, Ja nieopatrznie wtrąciłem się do rozmowy i powiedziałem, że tam gdzie byliśmy Niemcy wzięli siedem polskich dywizji do niewoli. Pan huknął na mnie, że się nie znam i czy sobie zdaję ile to jest siedem dywizji, że to jest niemożliwe i Polska jeszcze wygra wojnę, bo zza Wisły przygotowuje się wielkie przeciwuderzenie, które Niemców ponownie wyrzuci z Polski. Taka była wtedy wiara Polaków.

Od Włocławka przez Inowrocław i Gniezno jechaliśmy do Poznania. W Gnieźnie przejeżdżając koło katedry widzieliśmy, jak Niemcy rozbierali ogromny pomnik Bolesława Chrobrego, naszego pierwszego króla.

Do Poznania dojechaliśmy naszym wozem, z niemieckim woźnicą, około południa. Most na warcie był zniszczony i bardzo długo na Śródcie czekaliśmy na promową przeprawę. Wszystkie mosty na rzece Warcie w Poznaniu były zniszczone i to była jedyna przeprawa w Poznaniu, na „Śródcie” z wschodu na zachód.

W Poznaniu pożegnaliśmy naszego niemieckiego woźnicę, który mieszkał gdzieś około Pniew. Był dobrym Niemcem, bo na nas nikomu się nie poskarżył i nie przyznawał się w czasie powrotu, że jest Niemcem, co mogło by nam zrobić bardzo dużo kłopotu. Jeszcze nie znaliśmy Niemców do czego są zdolni. Niemniej nasz Niemiec był nam bardzo wdzięczny, szczególnie naszemu ojcu, który go wyzwolił od poprzednich jego prześladowców, a w drodze, gdzieś około miasta Koła od niechybnej śmierci, ponieważ jacyś nieobliczalni faceci stwierdzili, po rozpoznaniu, że naszym woźnicą jest Niemiec, że muszą go zabić, ponieważ w pobliżu jest polowe lotnisko, a on swoimi tajnymi drogami doniesie Niemcom i lotnisko zostanie zbombardowane. Ojciec stanowczo stanął w obronie naszego Niemca, z groźbą użycia służbowego rewolweru włącznie, którego energicznie wyjął z kabury i rozkazał nas i naszego woźnicę zostawić spokoju. Niemiec był blady jak papier, a ojciec dość spokojny i opanowany,

jakby był w dawnym, swoim wojskowo - wojennym żywiole. Nasz woźnica-Niemiec był wdzięczny ojcu za wszystko i nigdy, przez cały okres okupacji, nam nie zaszkodził i nikomu się nie poskarżył. Wzajemnie pozostaliśmy sobie wdzięczni i jest to dowód, że mimo wojny i nienawiści u ludzi mających sumienie, można liczyć na serdeczne i wzniosłe ludzkie odruchy.

Z Poznania do Grodziska zgodził się nas przewieść, ale już za duże pieniądze, miejscowy Polak swoimi końmi i wozem. Pasażerami był ten sam zestaw jaki wracał z pod Warszawy. Tu już padał stale ulewny deszcz i było zimno. W Grodzisku do domku, zaraz na wjeździe do miasta, pożegnaliśmy panią z małym dzieckiem, która tu mieszkała.

Jak z Grodziska dostaliśmy się do Zbąszynia już nie mogę sobie przypomnieć, ale pamiętam że Zbąszyn przywitał nas piękną pogodą. Jakież było nasze zdziwienie, że dom nasz, przy ulicy Zbąskich 3, był podziurawiony jak sito, jak żaden inny budynek w całym Zbąszyniu. Od strony ulicy wszystkie okna były wybite, a filary międzyokienne strzaskane. Jeden lub kilka pocisków przebiło mur do naszej piwnicy, prawie półmetrowej grubość.

Do naszego mieszkania, a dokładnie do sypialni został wrzucony ręczny granat. Rozbity został doszczętnie jeden nocny stolik, w podłodze dziura, a sufit pełen odłamków. Na podwórzu urosła wysoko trawa, a trawie pełno białych kurzych piór. Były to resztki całego naszego wiosennego, wysokiej klasy rasowego młodego stadka kur. Przepiękne były tylko super dojrzałe wielki żółte brzoskwinie, które zwisały nisko i można je było z łatwością zrywać i jeść. Do domu wchodziłem przez wybitą szybę w wielkim werandowym oknie. W naszym mieszkaniu był ogólny bałagan, pełno gruzu i szkła, oraz zniszczone dopiero nowe wielkie, eleganckie firany, z zaciąganyymi specjalnymi sznurkami zasłony, z których matka była bardzo dumna, bo były krótko przed wybuchem wojny kupione, za podobno duże pieniądze. W mieszkaniu w zasadzie nic nie zginęło, po za ręcznie malowaną makatką, którą zostawili nam na pamiątkę poprzedni lokatorzy. Był tylko kłopot z krzesłami, bo u nas były krzesła sąsiadów, a u sąsiadów były krzesła nasze. Wymiana trwała tak długo, jak kolejno wracali sąsiedzi. Od uporządkowania i zabicia dyktą powybijanych okien, zaczęło się znowu życie w naszym mieszkaniu i w okupowanym kraju.

Z opowiadań tych, którzy pozostali w Zbąszyniu, nasz dom został ostrzelany przez Niemców, z działka przeciwpancernego dla potrzeb niemieckiej kroniki filmowej, jak to dzielnie i zwycięsko walczą niemieccy żołnierze. Inna wersja to, że z tego domu ktoś strzelał do przejeżdżających kolumn niemieckich, a gdy się okazało, że w piwnicy w tym domu ukryła się mieszkająca w podwórzu, polsko-niemiecka rodzina, Niemcy byli podobno bardzo rozczarowani.

Również z opowiadań mieszkańców Zbąszynia, którzy pozostali we wrześniu 1939 dowiedziałem się, że Niemcy małymi siłami uderzyli na Zbąszyń, zajmując początkowo tylko lewobrzeżną część miasta, do wysadzonych mostów na rzece Obrze. Mieszkańców tej części miasta, Niemcy

ewakuowali w głąb Niemiec (ale nie daleko od granicy), spodziewając się przeciwwuderzenia Polaków. Polacy rzeczywiście kontaktowali podobno jedną tankietką i niewielkimi siłami piechoty, ograniczając się do podejścia od wschodu do wysadzonych mostów na Obrze i następnie szybko się wycofali. I na tym wojna o Zbąszyń w 1939 roku się skończyła.

Po powrocie z ucieczki, ojciec jako były powstaniec wielkopolski nie był pewien swojej przyszłości w nowych okupacyjnych warunkach, więc zaraz następnego dnia wyjechał. Przebywał poza domem w ukryciu, tak długo, zanim matka nie rozpoznała, przez znajomych i przychylnych nam starym miejscowym Niemcom, że ojcu nic nie grozi.

Wśród Polaków panowało przygnębienie, a szczególnie ojciec i jemu podobni żalowali powstańczego trudu i wysiłku dwudziestoletniej odbudowy zniszczonej pierwszą wojną i bardzo zróżnicowanej gospodarczo i społecznie Polski po dwustu latach rozbiorów.

Niemcy w Zbąszyniu i całej Wielkopolsce powywieszali flagi z hakenkreuzem, paradowali brunatnych (SA) i czarnych (SS) mundurach. Każdemu umundurowanemu Niemcowi należało zejść z chodnika i przejść po bruku. Wszędzie w publicznych miejscach i restauracjach pojawiły się napisy „Nur für Deutsche” – tylko dla Niemców. Polakom nie można było chodzić do kościoła.

W listopadzie 1939 roku przemawiał poznański gauleiter Greiser, który powiedział „ Alle Polen „Juden und Zigeuner werden aus dem Warthegau ausgerotet” co znaczy , że Polacy, Żydzi i Cyganie będą z ziemi nad Wartą wytrzebieni, unicestwieni i nie pozostanie po nich śladu.. Całe to przemówienie ukazało się w dzienniku zwanym „Ostdeutsche Beobachter” z którym ojciec chodził po mieszkaniu, potrząsał, złorzeczył i był przerażony iż takich Niemców nie znał, którzy byliby zdolni do takich publicznych wypowiedzi, a później uśmiercaniu metodami przemysłowymi milionów ludzi.

Już chyba od jesieni 1939 roku zaczęły się wysiedlenia Polaków do Generalnej Guberni, to znaczy do części Polski z Warszawą i Krakowem i początkowo z Łodzią, utworzonego obszaru zwanego General Gouwernament, oczywiście pod pełnym zarządem niemieckim. Tu muszę dodać, że cała wschodnia część Polski, od Bugu z miastami Lwowem, Białymstokiem, Wilnem, Pińskiem, całym pięknym Podolem i wschodnimi Karpatami, z słynnym uzdrowiskiem w Zaleszczykach, została zajęta przez Związek Radziecki, zgodnie z porozumieniem niemiecko-rosyjskim zwanym porozumieniem Mołotow - Ribentrop, czyli tak zwanym czwartym rozbiorem Polski. Rosja Sowiecka zgodnie z tym porozumieniem, bez wypowiedzenia wojny, uderzyła w drugiej połowie września 1939 roku, na tyły broniących się polskich armii przed Niemcami i wspólnie w jednym miesiącu pokonali niepodległą Polskę.

Wysiedlenia polegały na nieuprzedzonym wtargnięciu w nocy lub bardzo wczesnym rankiem Niemców, ubranych w brunatne mundury SA-manów, z

pałkami z wielkim hałasem do domu polskiej, wcześniej wybranej rodziny. Tak napadnięta nocą polska rodzina miała czas od 10-20 minut na spakowanie najważniejszych przedmiotów i została wypędzana ze swego mieszkania z wielkimi krzykami, oraz często bita pejcami (myśmy wtedy mówili „bykowcami”). Każdej nocy przez parę lat, ze spakowanymi walizkami czekało się na łomot do drzwi i wtargnięcie hitlerowskich oprawców.

Niemcy wysiedlali lub zsyłali do obozów koncentracyjnych Polaków, którzy w okresie między wojennym wykazywali się działalnością wyraźnie skierowaną przeciwko Niemcom hitlerowskim, a szczególnie działaczy polskich partii nacjonalistycznych, kościelnych organizacji skrajnie prawicowych, polskim komunistom i socjalistom, oraz patriotycznym księżom i nauczycielom, ogólnie polskiej inteligencji, również posiadaczom ładnych mieszkań i domków, oraz chłopów, właścicieli dużych gospodarstw rolnych.

W następnych latach już masowo wysiedlano chłopów z gospodarstw rolnych i mieszkańców miast wielkopolskich, gdy zaczęły napływać rzesze Niemców bałtyckich (Baltendeutsche), którzy byli przywożeni już w 1939 i 40 z Łotwy, Estonii i Litwy zgodnie z porozumieniem niemiecko-sowieckim przewidującym zajęcie tych terenów przez Zw. Radziecki. W późniejszych latach po 1941 roku, z Ukrainy, Besarabii i innych terenów sowieckich, byłych niemieckich kolonistów ze wschodu. Tak Niemcy wspólnie z Sowietami, którzy w tym zakresie mieli już doskonale doświadczenie przesiedlania u siebie całych narodów, rozpoczęły się „wypędzenia” i czystki etniczne, w środkowej i wschodniej Europie.

Polacy przez kilka lat okupacji, gdzieś do 1943 roku mieli spakowane walizki z najważniejszym dobytkiem i kosztownościami zaszytymi w ubraniach, czekając każdego dnia na wypędzenie. Myśmy ponadto część nakryć stołowych w specjalnej skrzyni zakopali w ogrodzie. Podobnie czyniło wielu Polaków.

Było to wszystko bardzo przygnębiające, ale jednocześnie w Polakach tliła się stale nadzieja nieuchronnej bliskiej klęski Niemiec. A to początkowo; że już na gwiazdkę, później że na Wielkanoc i tak na dalsze kolejne lata. A tu niestety stale klęski naszych sprzymierzeńców. Upadek Francji, zajęcie Danii i Norwegii, później całych Bałkanów aż po Kretę i przygotowania Niemców do inwazji na Anglię.

Późną jesienią w 1939 roku wyjechaliśmy z bratem do stryja Stanisława na wieś w powiecie kępiskim. Zima przełomu roku 39/40 była bardzo sroga. Duże śniegi i bardzo niskie temperatury około -25 stopni. Na wsi sami zrobiliśmy sobie narty i wędrowaliśmy po pięknej pagórkowatej okolicy .

Tu srogiej okupacji nie było widać. Polacy schodzili się wieczorami i politykowali, nieraz bardzo ostro. Pamiętam bardzo burzliwą naradę chłopów u stryja, która dotyczyła, wypełnienia wniosku o kennkarte. Jedna z rubryk pytała o narodowość. Część miejscowych uważała, że należy wpisać „niemiecka”, bo się urodzili w zaborze pruskim. Ojciec przekonywał, że jesteśmy narodowości polskiej, bo tym językiem mówimy w domu, modlimy się po polsku i jesteśmy

urodzeni na prastarej ziemi polskiej, a nie pruskiej. Jednak wielu nie usłuchało, wypisali w rubrykę „Deutsche” i później przyjęli niemiecką Volkslistę.

I tak się zaczęły długie ponad cztery lata dni okupacji hitlerowskiej. Moje kolejne perypetie okupacyjne pozwoliły wrócić do Zbąszynia dopiero w 1942 roku i tu przetrwać okupację do wyzwolenia w 1945 roku.

Są to spisane wspomnienia byłego mieszkańca Zbąszynia na podstawie zachowanych jego autentycznych notatek. Obrazują typowy los polskich rodzin tuż po wybuchu drugiej wojny światowej.

Z.M.